

Monument

26 kwietnia 2018

– Co to znów za cholera lezie? – zaklął Werwa–Pożoga, lokalny artysta sztuk wszelakich, zwłaszcza ciężkich i konkretnych w naturze swej cielesnej; a to rycie w kamieniu czy marmurze, odlewanie betonowe, żeliwne, ludwisarstwo, brązownictwo, cynownictwo, ołownictwo wreszcie, a nawet gliniarstwo. Gdyby ktoś zamówił witraż, lub wizję swą osobistą chciał przekuć w stal chromową, konstrukcję metalistą skręcaną bądź nitowaną, podejmie się i tego. Eksperymentował twórczo ze spawaniem, a wieczorami konstruował przedziwne, skrzypiące jak diabli dzieła ruchome, wprawiane w nieobliczalną mobilność zmyślnie poukrywanymi silniczkami.



Z zatrzymanego z piskiem samochodu wygramolił się jakiś opasły, niski człowiek w czerni, który stał teraz przed furtką i dzwonił natarczywie, szarpiąc jednocześnie bez sensu za kłamkę.

– To nasz burmistrz – stwierdził Wituś, młody pomocnik mistrza, uczeń. Miał lepszy, a nawet całkiem jeszcze dobry wzrok. – Kurdupel jeden.

– Czego ta menda chce?

Werwa–Pożoga nie znosił wszelkiej władzy, a cwanego, zakłamanego burmistrza, w istocie zwykłego trepa, który nie przeczytał w życiu ani jednej książki, nie mówiąc o wrażliwości artystycznej, szczególnie. Ale też przecież i rozumiał, że władza, to władza. Choćby z powodów podatkowych, gdy urząd, za wieloletniej kadencji tego chama, wspaniałomyślnie, kolejny rok, zapominał korygować do ogólnie ustalanych, podwyższanych bez zbytecznego wyjaśniania stawek, jego, działkowy podatek gruntowy. Był więc Werwa–Pożoga, mistrz artystyczny, traktowany ulgowo, wyjątkowo. Nie miał pewności co do źródła tej uwagi mógł się tylko domyślać że szło, być może, o kilka drobnych, solidnie przecież i fakturowo wynagrodzonych prac, wykonanych onegdaj na rzecz Urzędu, czy ściślej, odwiecznego burmistrza rympała. Szczególnie, tak sądził, za uczyniony woleju, na płótnie metr na półtora, konterfekt lokalnego, niewyrośniętego coś władcy. Ciekawe – do władzy, wszelakich stołków, garną się raczej osobnicy postury nikczemnej, kurduple. To być może jakieś odreagowanie własnych kompleksów – cholera wie.

Obraz ten, w złoconej ramie, wisi w sali głównej urzędu, odstraszać nawet tych bardziej zdeterminowanych petentów. Raz, że okropny kicz, całkiem nieporadnie i niechlujnie wypacykowany, dwa, iż postać burmistrza jakaś ponura, sprawiająca wrażenie potężnej, groźna. Ostre (biel cynkowa) spojrzenie spod tępego łba, wprost na ośmielającego się podnieść wzrok interesanta. Jednak podobieństwo pewne, trzeba to przyznać, jest.

Tak, czy owak, mistrz myślał jedno, a mówił, zwłaszcza publicznie, drugie. Jak wszyscy zresztą w tym przedziwnym miasteczku i nie mniej zastanawiającym kraju.

– Samochód sobie zmienił, złodziej jeden – Wituś skrzywił się dziwnie. – Terenowy, nikłowany. – Oo... – zachichotał cicho. – Potknął się grubas o kamień!

– Tfu! – mistrz splunął znacząco, od serca, na i tak uświnioną

podłogę pracowni, ale brudne, spracowane dłonie wytarł w szmatę, zmierzwiony kołtun przygarnął nieco, odgasił peta. Znaczy przygotował się tyle o ile do wizyty. Zaczyna gość zapukał do pracowni. Stanowczo, głośno.

– Prosiemy, prosiemy! – artysta zgiął się teatralnie w szarmanckim półukłonie. Udatnie dość i znacząco kpiarsko, ale to zrozumiał tylko Wituś. – Wadza w dom, Bóg w dom.

– Podatki u proga... – uzupełnił Wituś pod nosem.

– Dajcie spokój Wyrwa... – burmistrz uśmiechnął się półgębkiem i błyskawicznie lustrując wielkie pomieszczenie, łaskawie wyciągnął do mistrza maleńką, ciepłątką prawicę. – Jak już wy coś powiecie...

– No... obytem co nieco na salonach, wystawach, performansach... – skromnie wyjaśniał Werwa-Požoga, starając się jednocześnie nie dominować wzrostem. – Słyszysz się to i owo, wódę chleje z różnymi...

– Wiem, wiem. Ech... świat szeroki, bohema, życie chwilą, kobiety niezależne, w obyciu swobodne...

– Kurwy! – twardo stwierdził Wituś.

– A temu co? – zdziwił się burmistrz. – Złapał może jaką francę?

– Gdzież tam! Młody jeszcze, głupi – mistrz machnął ręką, po czym podstawiał burmistrzowi fantazyjnie powyginane krzesło. – Ale cóż tam na urzędzie? Jak kampania?

Gorgon, bo tak się burmistrz nazywał, usiadł ciężko. Krzesło jęknęło, ale wytrzymało jakoś. Dobra, osiemnastowieczna robota.

– Ja właśnie w tej sprawie. – przyznał. – Powstała wiecie... inicjatywa hm... oddolna, spontaniczna, jak się wydaje... żeby zlecić wam – tu Gorgon spojrzał przychylnie również na Witusia

– wykonanie pewnej... roboty.

– Hm... oddolna... – mruknął Werwa-Požoga. – A jakaż to robota?

– No cóż... monumencik taki marmurzysty, skromny, zwieńczony powiedzmy... brązowym... popiersiem.

– Czyim? – spytał bezczelnie Wituś. No ale w końcu istotny szczegół, informacja podstawowa przecież. To go usprawiedliwiało prawie całkowicie.

– Hm... – Gorgon jakby zaczerwienił się, spuścił skromnie maleńkie oczka i – rzecz zadziwiająca zupełnie – skurczył dziwnie w sobie, a raczej zmałał jeszcze bardziej. Odrobinę. – Mo... im.

Najwyraźniej całkowicie zdał sobie sprawę z horrendum, z tego, iż właśnie dowodnie wyszło na jaw to, co każe mu sprawować ten urząd od tylu lat, wbrew wszelkim zasadom honoru, uczciwości, jawności – trzymać się stolca bez oglądania na wyniki wszystkich dotąd wyborów, które, to oczywiste, zawsze, podliczane ostatecznie przez posłusznych komisjantów, dawały mu znaczną przewagę. W sumie, jak wynika z Gorgonowego zachowania, nie był to jednakże przypadek beznadziejny, niemniej prawdziwie ciężki.

Mistrz i uczeń spojrzeli po sobie, ostatkiem woli wstrzymując wybuch śmiechu – tylko Wituś zakaszlał i wstał nagle, by dosypać do pieca.

– A... wielkość odlewu? – przytomnie zagadał Werwa-Požoga. – Większy od... oryginału, mniejszy?

– No... sam nie wiem. Może ociupinę... większy? Cena nie gra roli. Jak wiecie dobrze, nie jestem z tych... gołodupców, i reguluję rzetelnie. A i kasa gminna zasobna.

– Dobrze, a... tworzywo? Gips, kamień, mosiądz, brąz?

– No wiecie... – skrzywił się Gorgon. – Gips? Żeby mnie było

łajza obtłukła?

– Brąz w takim razie. Choć z brązem... ciężko ostatnio...

– Jak to ciężko? Macie przecież chyba jeszcze ten potrzaskany przez alumna dzwon? Co to go po pijaku rozkołysał bez opamiętania i wykrzykiwał do Kryski, że go bezbożna opuściła, skurwiła? Aż urwał się onże w diabły, przygniatając krzykacza.

– No mam, ale to... materiał kościelny przecież.

– A tam kościelny. Dogadam się z proboszczem – spokojnie możecie odlewać.

Werwa–Pożoga nie dyskutował dłużej. Jeszcze tylko kilka spraw technicznych;

– Będę musiał pana pokryć, he, he... wazeliną, następnie oblepić gumą arabską, rozdmuchać to odrobinę i zrobić formę gipsową. Tak będzie najlepiej.

– Dobrze. Wazelina... zwykła rzecz. – zgodził się burmistrz ochoczo. – Łba mi chyba nie urwiecie, co Werwa?

– Skądże.

– W takim razie jeszcze jedno. Najważniejsze – instruował Gorgon. – Na spodzie postumentu, wewnątrz, mają być kółka, akumulatory i zdalnie sterowany napęd. Co by całość mogła swobodnie jeździć po miasteczku i kotwiczyć gdzie trzeba.

– Po co? – zdziwił się Witek, który ponownie włączył się do rozmowy.

– Bo... wiecie... – burmistrz znów był w kłopotcie. – Radni nic o tym nie mają wiedzieć, a ustawię go z zaskoczenia, krok, po kroczku i tam, gdzie chcę. A... i głośnik zamontujcie z odtwarzaczem. Specjalna pieśń już się w domu kultury komponuje – dziewczątka małe próbują na głosy, szlifują. Chór znaczy... ku czci,

Nie mogli wyjść z podziwu. Trep i prostak, ale pomysły to burmistrz ma. Idiotyczne co prawda, ale zawsze. Najpewniej obawia się o wygraną w najbliższych wyborach – tyle ostatnio mówi się o konkurencji, o pilnowaniu liczenia głosów, o uczciwości. On się co prawda śmieje z tego, jednak monument może i jest jakimś remedium na zapewne trudniejszą niż poprzednio kampanię? Chociaż, gdy radni się dowiedzą, że z kasy gminnej... lud wyborczy... Jego sprawa.

– Przed wyborami, ma się rozumieć? – uściślił Werwa-Požoga. – Choć z tym napędem, to muszę... kooperować. Sami nie damy rady.

– Dobrze – jak to się mówi, róbta jak chceta. Wolna ręka. Byle zdążyć. Zaliczkę daję znaczną. A... i napis ładnie wyryty na cokole.

– Jaki napis?

– Moment... ktoś mi to ułożył... – Gorgon sięgnął do kieszeni i wyciągnął karteczkę. – „Wielkiemu Organizatorowi, rzutkiemu Włodarzowi i wieloletniemu Burmistrzowi – Wdzięczni Rodacy.”

– Piękne – kąśliwie przyznał Wituś. – Literki białe?

– Mogą być białe. Byle widoczne – odsapnął wreszcie burmistrz.

– A na głowie te, no, listki bobkowe.

– Chyba laurowe? – sprostował Wituś ostrożnie. – Jak u... cesarów rzymskich.

– Tak, tak, oczywiście. To co? Załatwione mistrzu?

– Załatwione. – przytaknął Artysta bez entuzjazmu. – Jutro zgłosi się pan do wazelinowania. Proszę się porządnie ogolić.

* * *

Początkowo monumencik stanął na trawniku przed okazałym domem burmistrza, jednak dla bezpieczeństwa za płotem. Tuż obok niespecjalnie co prawda ruchliwa ulica, chodnik, jednak

reakcje, zwłaszcza mającej wszystko za nic młodzieży, mogły być różne.

Czarny, lśniący marmurowo, zwężający się ku górze graniastosłup, a na szczycie brązowe, też wyglansowane do połysku popiersie z ogromną głową zapatrzoną w świetlaną dal, zadumanego czymś Gorgona. Burmistrza. Skroń przybrana również brązowym, nie do oderwania, bo przylutowanym, wieńcem laurowym. Całość prawie dwa metry wysokości. Wykonanie solidne – ogólnie robiąca poważne wrażenie, emanacja dostojności, rzetelności. Spisał się Werwa–Pożoga, artysta klasy światowej. Powyżej podstawy stosowny, wyraźny napis;

„Wielkiemu Organizatorowi, żółtkiemu Włodażowi i wieloletniemu Burmistrzowi – Wdzieńczni Rodacy.”

No... może i kilka błędów ortograficznych, ale któż się na tym pozna? Poza tym nie ujmuje to w żaden sposób dostojności, powagi brązowej monumentu, co najwyżej fatalnie świadczy o wykonawcy.

Pierwsza noc minęła spokojnie. Nikt nie pluł, nie rzucał kamieniami, nie wyzywał pod oknami. Wczesnym rankiem, a w zasadzie o świcie, niewyspany z całonocnego pilnowania burmistrz, używając specjalnego pilota, przesunął zdalnie monument o kilkanaście metrów. W kierunku Urzędu, ma się rozumieć. Bliżej. Co prawda jeszcze w obrębie swojej działki, za płotem, ale azymut docelowy słuszny.

Podczas kolejnych nocy monument przemieszczał się cichcem (dobrze osi nasmarowane) i konsekwentnie w stronę rynku. W dzień, nie rzucając się w oczy, dokował skromnie w krzakach, w niszach, za węglami. Po tygodniu stanął wreszcie w samym centrum rynku, zwracając swe marsowe, metaliczne oblicze i zadumane spojrzenie na Urząd. Burmistrzowi gratulowano, nawet księgowia gminna wyasygnowała extra kilkaset złotych na solidną wiązanekę, jednak oczywiście znalazła się menda – młody, wyszczekany radny, jedyny kontrkandydat wyborczy, który miał

tę świetną inicjatywę za urzędniczy obłąd.

Po pierwsze – argumentował – monument rozprasza urzędników. To tak, jakby burmistrz nie ufał zupełnie swoim ludziom i z marmurowej wyżyny, z zewnątrz, brązowym wzrokiem bezustannie patrzył im na ręce. Mylą się przez to, źle obliczają zawartość wręczanych im kopert. Po drugie, rynek jest miejscem publicznym, gminnym, i nie godzi się chyba instalować tam czegokolwiek bez uchwały rady gminy. A wreszcie, co by to było, gdyby każdy chciał tu sobie postawić pomniczek – tabliczkę choćby pamiątkową zainstalować?

Burmistrz odpierał zarzuty godnie, merytorycznie.

Przede wszystkim, to on, burmistrz, nie jest każdy. I kontrola urzędników, choćby i zdalna, wyimaginowana, wyjdzie tylko wszystkim na dobre. Niech biorą ile było dotąd ustalone – połowa sobie, druga połowa jemu. Było dobrze tyle lat, więc dlaczego teraz ma być inaczej? Rynecek, jako całość, jest, i owszem, terenem gminnym, za wyjątkiem tych dwóch metrów kwadratowych na środku, wykupionych przed kilku laty. Ma na to decyzję ówczesnej rady, stosowne kwity, fakturę na dwa trzydzieści pięć – cena urzędowa, legalna. I wara wszystkim od jego prywatnej działeczki. Będzie tam stawiał co tylko będzie chciał. Choćby kibel! A od dzisiaj, od wieczora, przez całą noc, zainstaluje się przy monumencie posterunek. Komendant policji zgodził się bez gadania – wystawi uzbrojonego w służbową pałę, kajdany i bloczek mandatowy wartownika. Zwłaszcza, że pojutrze wybory – czas podniosły, patriotyczny.

Emocje chwilowo opadły, młody radny przymknął się wreszcie. Jednak następnej nocy zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Grubo po północy, gdy wartownik przysnął ostatecznie na rynkowej ławce, marmurowy Gorgon wolniutko, cichutko, ruszył ze swojego miejsca, by udać się na nocny obchód wokół rynku. Zapuszczał się też w boczne uliczki, przygrywając sobie na cały regulator dziecięcą pieśnią chwalebną, zaglądał do okien.

Pobudził społeczność, wywołał ogólną dezaprobatę, szemranie. Niektórzy w nerwach rzucali czym popadnie, przeklinali burmistrza, opluwali. Polewali też ukradkiem pomyjami, smarowali odchodami. A niezrażony marmurowy dostojnik wędrował powolutku w te i we w te, obrastając powoli w świństwa wszelakie, systematycznie tracąc godność, majestat. Zupełnie odmieniony, zbrukany, wrócił posuwicie na swoje miejsce.

I dopiero znacznie później wyszło na jaw, że to psotnik Wituś, bez wiedzy, a tym bardziej pozwolenia mistrza swego, Werwy-Požogi, zawłaszczył zapasowego pilota sterowniczego, którym następnie posłużył się niecznie, ku uciechu własnej i jemu podobnych.

Tymczasem rano, przed szóstą, wystrojony burmistrz, pod krawatem i przepasany czerwoną szarfą z zupełnie nieadekwatnym napisem „Ku pamięci”, zbliżał się do Urzędu, gdzie mieścił się też jedyny w miasteczku lokal wyborczy. Umówił się tu wcześniej z przewodniczącym komisji i niejakim Koperskim, pracownikiem fizycznym na gminnym etacie. Obaj, w prosty sposób, mieli zapewnić Gorgonowe zwycięstwo.

Urny wykonano dwie, kart do głosowania też podwójna ilość. Ta druga połowa była już wcześniej poznaczona krzyżykami we właściwych miejscach. Oczywiście nie wszystkie. Dla uwiarygodnienia całości, niewielki procent kart miał krzyżyki przy nazwisku burmistrzowego konkurenta. Wszystkie zaznaczenia były wykonane różnymi długopisami, a nawet kilkoma piórami. Gorgon faktycznie młotek, cham i złodziej, ale przecież nie idiota.

Tak więc chwilę po tym, gdy o dwudziestej zegar wybije ostatnią sekundę głosowania, ale urna nie będzie jeszcze opróżniona, na rynku odpalone zostaną sztuczne ognie. Hałaśliwe jak cholera, kolorowe. Rzadka w miasteczku atrakcja. Wszyscy członkowie komisji wyborczej, nawet ci opozycyjni, rzucają się do okien podziwiać spektakl. Legalny, zaplanowany, ogłoszony. A wtedy przewodniczący i fizyczny Koperski

błyskawicznie i cichcem zamienia urny. Samo więc późniejsze liczenie zawartości będzie uczciwe, dokładne, pod pełną opozycyjną, demokratyczną kontrolą. Prościzna.

Już więc miał wejść do urzędu, lecz postanowił jeszcze rzucić okiem na monument, dotknąć go przed spodziewaną wygraną, nasycić się. Ciesząc się w duchu na gładź szlachetnego marmuru, dostojny chłód polerowanego brązu, skręcił na środek ryneczku, gdzie też i natychmiast formalnie trafił go szlag!

Całe, tak wspaniałe, wycyzelowane pieczołowicie dzieło uznanego artysty, usmarowane było gównem, oblepione jakimiś śmieciami, śmierdzące niemożebnie. Brązowy Gorgon miał na głowie stary, sflaczały kapelusz, skutecznie zasłaniający laur, pomazaną farbą gębę, na oczach ciemne, plastikane okulary. Stał też tyłem do Urzędu, co znakiem było symbolicznym w dniu tak szczególnym. Co znaczyło też, iż monument, mimo zakotwiczenia, był przemieszczany – kto wie dokąd, jak daleko i po jakich nieboga manowcach wrednych wędrował? Nieszczęsny wartownik, w szarzyźnie świtu, chrapał smacznie na pobliskiej ławce.

Coś w burmistrzu pękło (może nawet kamienne dotąd serce?), coś się zmieniło radykalnie, nieodwracalnie. Nagle jasno zdał sobie sprawę z własnej sytuacji, z własnej pozycji w tej małej społeczności. Postanowił wycofać się z dzisiejszych zawodów o stołek, przejść na zasłużoną emeryturkę, spocząć na laurach. Nie braknie mu przecież niczego – obrzydliwie bogaty, w obszernym domu, zajmie się rodziną, wnuczkami, hobby jakieś znaczkowe wymyśli...

Jednak zanim tak zrobi, zaakcentuje ostatni raz swoją osobowość, swoją tu wieloletnią aktywność, rys osobisty społecznikowski.

Wyjął więc z kieszeni pilota i uruchomił monument. Ten, z prawie już wyczerpanymi po nocnych peregrynacjach akumulatorami, ruszył niechętnie, bucząc żałośnie silnikami.

Przejechał jednak grzecznie jezdnię, skręcił posłusznie pod wejście główne Urzędu. Tu Gorgon skonstatował nagle, że przecież nie wprowadzi monumentu, jak zamierzał, przez te kilka stopni schodów wejściowych – wywróci półtonową konstrukcję. Co robić...?

Jest! Szczęśliwie, kilka lat temu, zarządził wykonanie podjazdu inwalidzkiego – skromnej pochylni dla wózkowych petentów. Zyskał wtedy kilka procent głosów, a i koperta od wykonawcy nie była do pogardzenia. Mówiąc prawdę pochylnia była użyta tylko raz – gdy chciał z niej skorzystać jedyny w miasteczku inwalida, operacyjnie pozbawiony nóg Kaleta, nieustająco po tej stracie pijany. Usnął kiedyś w pobliskim parku, po czym przyciśnięty potrzebą, próbował skorzystać z urzędowej toalety. Wjechał na stromy podjazd, lecz będąc przecież po spożyciu, zwałił się z samej prawie góry na gminny bruk, łamiąc przy tym kark.

Elektorat, ludność tubylcza, straciła zainteresowanie pochylnią, zresztą i tak, po widowiskowej śmierci Kalety, tego pasożyta, który natychmiast przepijał każde pieniądze otrzymane z gminnej pomocy, nie było komu korzystać. A teraz proszę – przyda się, będzie jak znalazł!

Nakierował więc Gorgon monument na dość stromy podjazd, lecz do cna wyczerpane akumulatory tego zelektryfikowanego dzieła sztuki nie miały wystarczającej mocy. Spróbował więc wspomóc jakoś mechanizm i popchnął go oburącz, zapierając się nogami o gładki beton. W ten sposób, wspólnymi siłami, dotarli prawie do szczytu. Tu jednak burmistrz pośliznął się nieszczęśliwie na jakimś śmieciu, oderwał na sekundę ręce od uświnionego marmuru i rymnął całym ciałem do tyłu. Pochylony znacznie, nie podtrzymywany już monument, też ustawił się wywrotowo, po czym całą swoją dostojną masą przywalił próbującego pozbierać się nieporadnie Gorgona.

Ciężki, kamienny postument, roztrzaskał Gorgonową czaszkę na miazgę, akumulatory wylały się na stos potłuczonych szczątków

zżerając ochoczo każdy metal, parując buro. Brązowa, pusta wewnątrz głowa, walnęła o beton, rozpadając na dziesiątki odłamków. Obaj – oryginał, oraz sztuczny, marmurowo metalisty konterfekt, przestali istnieć równocześnie.

Przewodniczący komisji wyborczej i fizyczny Koperski usłyszeli jakieś hałasy. Wybiegli więc na zewnątrz, gdzie szybko zorientowali się w sytuacji, a jedyne, co mogli zrobić, to załamać ręce.

– Szkoda – bez przekonania stwierdził przewodniczący. I nie wiadomo zupełnie, czy myślał o Gorgonie, jego kamiennym odzwierciedleniu, czy też o tak niespodziewanie przepadłej, obiecanej premii za wyborczy przekręt.

– Przywaliła go własna potęga – ocenił filozoficznie fizyczny.
– Ego rozbuchane.

– Ech, życie... – podsumował zwięźle przewodniczący spluwając w bok, po czym obaj wrócili spokojnie do środka by zawiadomić policję, a zwłaszcza dyskretnie pozbyć się zapasowej, niepotrzebnej już przecież urny.

A i wybory trzeba będzie odwołać.

KONIEC

Autorstwo: Golesz

Zdjęcie: [Fachdozent](#) (CC0)

Źródło: WolneMedia.net